

# Macierz Polska.

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY  
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

No. 4.

Chicago, Ill., Czwartek, 24-go Stycznia, 1907.

Rok VIII.

## Historia Kościoła w obrazach.

(Ciąg dalszy.)

Z powodu tej właśnie prostoty i skromności w ubiorze znajomi poganie zaczęli podejrywać św. Agnieszkę o zarażenie się wschodnim zabobonem, jak oni nazywali wiarę chrześcijańską i przyjęcie jej.

Z pośród rówieśniczek i przyjaciółek swoich, św. Agnieszka wyróżniała kuzynkę swoją, Fabiolę. Było to dziewczę bardzo skromne, podobnie jak święta, nie lubująca się w strojach, ani błyskotach zewnętrznych. Nie dziw, że dwa takie charaktery przypadły do siebie, i małe dziewczeczki bardzo się polubiły i wzajemnie często się odwiedzały.

Razu jednego Fabiola zaprosiła do siebie św. Agnieszkę. W ten dzień ojciec Fabioli zaprosił do domu swego dwóch młodych Rzymian: Fulwiusza i Korwinusa, obydwaj byli zaciętymi wrogami chrześcijan.

Kiedy obydwie panienki wyszły ze swojego mieszkania, udając się do jadalnego pokju, spotkały ojca Fabioli, Fabiusza, który widząc córkę bardzo skromnie ubraną, zaczął ją strasować, przykazując, aby się lepiej ubierała i nie zawstydziała go przed gośćmi. Fabiola bardzo się tem zmieszała i nie wiedziała, co ojcu odpowiedzieć. Wtenczas św. Agnieszka wybawiła swoją przyjaciółkę z kłopotu. Powiedziała Fabiuszowi, że córka jego nie miała czasu ubrać się inaczej, ponieważ rozmową swoją ona jej w tem przeszkodziła. Lecz Fabiusz spojrzawszy na młodą panienkę, i widząc ją również bardzo skromnie ubraną, powiedział:

— I ty także powinnaś dbać więcej o swój strój i zewnętrzny wygląd; nie jesteś już dzieckiem. Powinnaś dbać o to, abyś ubiorem i powierzchownością swoją nie przynosiła rodzicom wstydu i abyś sobie znalazła jakiego dzielnego, rzymskiego młodzieńca.

Na te słowa anielski uśmiech pojawił się na twarzyczce św. Agnieszki która odpowiedziała:

— O tak ja już zaślubiona zostałam takiemu, który przyozdobi mnie bardzo bogato.

Fabiusz, przypuszczając, że św. mówi o obecnym tam Fulwiuszu, więcej już nie wypytywał.

Św. Agnieszka miała lat 12, kiedy w lutym 303 roku Dyoklecjan wydał pierwszy edykt przeciw chrześcijanom. W następnym roku Agnieszka mając lat trzynaście miała być poślubioną synowi prefekta Rzymu. Odmawiając jednak swojej ręki, powiedziała, że już jest poślubioną Niebieskiemu Oblubieńcowi, Chrystowi Panu, i żadnego innego ziemskiego oblubieńca nie chce. Prefekt zwrócił się do rodziców świętej, aby oni powagą swoją wpłynęli na zmianę usposobienia swej córki. Rodzice jednak wręcz oświadczyli, że o ile znają swoją córeczkę są pewni, że raz powziętego zamiaru nie zmienią. Rozgneiwany prefekt, kazał przyprowadzić panienkę do świątyni Minerwy, przed której to bogini ołtarzem, rozkazał Agnieszcze złożyć ofiarę. Lecz Agnieszka, zamiast bałwochwalczej ofiary dla pogańskiej bogini, wznosiła ręce do góry, uczyniła znak krzyża św., i modliła się, do swego Niebieskiego Oblubieńca, prosząc Go o męstwo i wytrwałość we wierze i męczeństwie, które już przewidywała.

Nie zawiodła się. Bo jak świadczy św. Ambroży, biskup Medyolański, Ojciec i Doktor Kościoła, Pan Jezus nie opuścił niewinnego dziecka, któremu dał taką siłę i odwagę w czasie prześladowania, że młodzietka panienka w podziw wprawiała wszystkich. Anioł Stróż chronił św. dziewicę od złych ludzi.

21 stycznia św. Agnieszka stanęła przed sądem, oskarżona o przyjęcie wiary chrześcijańskiej. Gdy dwaj żołnierze wprowadzili młodzietkę dziewczę do sali sądowej, ozwały się krzyki niezadowolonia wśród zebranej publiczności. Prefekt widząc Agnieszkę mającą wolne ręce, rozkazał okuć ją w kajdany, jakby jakiego zbrodniarza. Oprawcy natychmiast wyszukali kajdany, które założyli świętej na ręce. Agnieszka wcale się nie wzbraniała owszem z anielskim uśmiechem i radością na dziecięcej swej twarzyczce wyciągnęła ręce, pozwalając je zakuć. Okowy te uważała jako drogocenny pierścień zaślubin z Niebieskim Oblubieńcem. Zachowanie się św. Agnieszki i dziecięca jej postać wzbudziła litość nawet u oprawcy który ją zakuwał i który powiedział do prefekta: "ręce takiego dziecka zasługują na inne bransoletki."

(Ciąg dalszy nastąpi).



## POŻAR.

Mały Ignas pomagał mamie w przygotowaniu do Świąt Bożego Narodzenia: czyścił mieszkanie; sprzątał, potem obierał z łupinek migdały, które ma ma polała gorącą wodą, by łatwiej wyszły ze swych brunatnych sukienek. Bielutkie, i takie apetyczne, że aż do łakomstwa przychodziła chętka, ale Ignas był wstrzemięźliwy, nie zjadł ani jednego bez pozwolenia mamy.

Gdy obrał migdały, robił wiele jeszcze innych rzeczy do samego wieczora, i tak się napracował pożytecznie, że gdy zmęczony, po pacierzu spać się położył, usnął natychmiast i spał jak zabity.

Nagle w nocy trochę nad ranem, słychać na ulicy hałas, wrzawę, nawoływania; przeciera oczy, a tu ogromny ogień, palącego się gdzieś niedaleko gmachu, oświetla całe mieszkanie, jakby we dnie.

Tatusz zerwał się na równe nogi, choć zmęczony całodzienną pracą w fabryce, przeżegnał się, chwycił ubranie, pobiegł do okna i zawołał: „Boże ratuj! toć to w stronie kościoła na Stanisławowie, polecę prędzej, może moja pomoc na co się, zda komu; należy ratować bliźniego w nieszczęściu. Mama była chora, nie mogła się ruszyć z pościeli, tylko wzniosła ręce ku niebu i poczęła się modlić.

Ignas miał wielką chęć biedz z tatusiem do pożaru, ale starsza siostrzyczka Stefcia, co już była w czwartej czytance, tak się odezwała: „Nic tam nie zrobisz mój Ignasiu, jesteś mały, jeszcze cię przewrócą i stratują, zamiast przypatrywania się ciekawie i bez pożytku, jak się tam pali, możesz tu na miejscu skuteczniej pomoc tym biednym ludziom, co tracą w ogniu majątek swój, a może i życie.

Ledwo Ignas otworzył buzię, by zapytać Stefcię, jak to można pomagać w pożarze, nie wychodząc z domu, gdy z ulicy dobiegły głosy: „Szkółka się pali na Stanisławowie, ratujcie Siostry!”

Serduszko Ignasia zabiło mocno. Choć jeszcze był w elementarzu, miał już czas pokochać Siostry Nauczycielki, zrozumiał, że one jak dobre anioły stróże, czuwają nad dziatwą, uczą nie tylko czytać, pisać, rachować, ale kształcą ich duszyczki, to znaczy, starają się by dzieci poznały i zrozumiały co złe, nie grzeszyły i zachowały swe serduszka czyste i niewinne.

Już nie było potrzeby tłumaczyć Ignasiowi, jak to się pomaga z daleka w nieszczęściu. Razem ze Stefcią rzucił się na kolana przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, który tatuś jeszcze ze starego kraju przywiózł i co sobotę palił przed nim lampkę.

Łuna pożaru świeciła tak jasno, że można było czytać z książeczki.

Stefka zaczęła litanie do Najsw. Panny, a Ignas z głębi serduszka powtarzał: „Módl się za nami!” Proszę Matkę Najsw. by ratowała dobre Siostry od śmierci w ogniu i kalectwa, a liczną dziatwę szkolną od utraty dobrych sióstr nauczycielek, co je wychowują i wskazują drogę do Nieba.

Zmiłuj się nad niemi, ach zmiłuj się, powtarzał coraz goręcej Ignas. Serduszko jego biło coraz mocniej, łezki płynęły po rumianych policzkach, a łuna pożaru coraz jaśniejsza, coraz jaskrawsza, trwożą przejmowała wszystkich.

Po litanii dzieci zmówiły „Pod twoją obronę uciekamy się” i 3 Zdrowaś Marya do Św. Floryana, patrona od ognia, a gdy kończyły, mamusia rzekła: „Moje dzieci, nie możemy ratować czynem tych co tam są, w niebezpieczeństwie, więc zmówmy jeszcze Różaniec na ich intencję.

Ignas miał wielką ochotę wybiedz na ulicę i dowiedzieć się coś więcej o pożarze, ale usłuchał Mamy i zaczęto mówić Różaniec.

Przy końcu ostatniego dziesiątka, wpada tatuś i woła: „Cały gmach szkolny w ogniu, ale wszystkie siostry ocalone, szczęśliwie zeszyły po zeiznnych schodach.”

O jakżeż dobre Matka Najsw. zawołał Ignas. Ona ocaliła Siostry z pożaru, Ona wysłuchała naszą modlitwę. Teraz zawsze będę się modlił za tych których inaczej ratować nie zdołam, a gdy wyrosnę, pobiegnę w ogień wynosić ludzi, mówiąc zawsze „Matko Najświętsza. módl się za nami!”

S. Helena C. K.

## POGADANKA NAUKOWA

Sól.

(Ciąg dalszy).

Wody słodkie dzięki temu, że tak bardzo małą zawierają ilość soli, zdatne są do picia. Inaczej się ma rzecz z wodą morską. Woda morska posiada smak słony i do picia zgoła nieprzydatna i powoduje w organizmie różne zaburzenia i cierpienia. Dlatego nie trudno pojąć, że bardzo często, zwłaszcza w czasach dawnych, rozbitki na morzu umierały z pragnienia, choć na okół rozciągały się bezbrzeżne obszary wody. Jeżeli nieszczęśliwym, pozabawionym słodkiej wody, nie dostarczył takowej deszcz, w strasznych mękach kończyli życie. Zaprawdę, że okropna musi być męka dla człowieka spragnionego, który od kilku dni kropli wody nie miał w ustach, kiedy na około siebie taką olbrzymią widzi masę wody, a pić jej nie może!

Być może, że czytelnicy ciekawi są wiedzieć skąd woda morska ma tyle soli w sobie rozpuszczonej, jeżeli woda rzeczna, która zasila morza rzekami, tak mało ma w sobie soli. Na to pytanie



pewien dowcipniś odpowiedział, że woda morska ma smak słony, ponieważ wiele w niej znajduje się śledzi, które, jak wszystkim wiadomo, mają smak słony, często za słony.

Istotną przyczyną jest to, że wszystkie rzeki, wpadające do morza, przynoszą ze sobą, wprowadzając małą, ale zawsze pewną ilość soli. Ponieważ rzeki te płyną tysiące lat, nie dziw, że przez tak długi przeciąg czasu z małych ilości powstają większe. Wyobraźmy sobie, że składamy w jedną miseczkę tylko jedno ziarno piasku, w ciągu jednego roku ułożylibyśmy 535,600 ziarenek, które utworzyłyby dosyć znaczącą kupkę. A gdybyśmy tak składali po ziarnku całe wieki, to z tych ziarenek zrobiłaby się góra olbrzymia. Tak samo ma się rzecz i ze solą. Przez całe tysiące lat rzeki przynoszą stale pewną ilość soli, która, nie mająca już nigdzie ujścia, ustawicznie się powiększa.

Zdawałoby się, że w takim razie i wody powinny przybywać w morzach, a z czasem morza powinny by się przepełniać i zalewać ziemię. Tymczasem jednak tak nie jest. Ilość wody, mimo tyle wieków, w morzach jest zawsze prawie ta sama. Chyba w czasach wielkich opadów deszczowych lub tajania śniegu, woda może się trochę podnieść. Dzieje się to wskutek tego, że woda we wszystkich oceanach, morzach i jeziorach paruje bezustannie. Para wodna unosi się w górę, następnie w postaci deszczu spada na ziemię, albo raczej na lądy, daje początek źródłom i rzekom, które znowu wraca do morza, gdzie na nowo paruje. I tak się dzieje w kółko, z tą atoli różnicą, że za każdym razem woda, wracając rzekami do morza, przynosi ze sobą co raz to nową ilość soli.

W ten, mniej więcej sposób, można sobie przedstawić jak stosunkowo ubogie w sól rzeki mogły zasilić całą oceanę. I tu sprawdza się staropolskie przysłowie: ziarno do ziarnka, a zbierze się miarka.

Jeżeli rzeki zamiast do oceanu, lub wielkiego morza, wpadają do jeziora, zwłaszcza położonego w suchym i gorącym klimacie gdzie woda pod promieniami słońca silnie paruje, a deszczów mało pada, to sól nagromadza się w tak olbrzymiej ilości, że już nie może się rozpuszczać, a więc gęstnieje i osadza się na dnie i koło brzegów. Ryby i inne zwierzęta częstokroć giną, bo nie są w stanie wytrzymać w tak gęstym roztworze. Temu właśnie zawdzięcza swą nazwę morze Martwe, w którym woda tak jest przesycona solami, a szczególniej asfaltem, że żadna ryba ani jakiegobądź inne wodne stworzenie wyżyć nie może. Podobnem do morza Martwego jest jezioro Eltońskie koło Morza Kaspjskiego, oraz wiele innych jezior i limanów szczególniej na wybrzeżach morza Czarnego.

W wielkich oceanach i takich morzach, które mają połączenie z pierwszymi, takie zgęszczenie soli nigdy nie może mieć miejsca. Czytelnicy niech sobie przypomną gotowanie wody. Co się to robi z wodą przy gotowaniu? Zwykle ludzie powiadają, że woda wrze. Dlaczego ona wrze i co to jest właściwie to wrzenie. Jeżeli ktoś dobrze będzie obserwował gotowanie się wody, to zauważy najprzód, jak małe pęcherzyki ze samego spodu naczynia wzbijają się do góry. Te pęcherzyki to już para, w którą się obróciły drobne, w pierw już nagrzane, cząsteczki wody. Im dłużej woda i silniej się nagrzewa, tem pęcherzów coraz więcej. Jeżeli włożymy palce do wody, którą nagrzewamy, to zauważymy, że górne warstwy są zimniejsze i mogą być nawet dosyć zimne, kiedy woda przy dnie już jest letnia, lub ciepła. Nagrzane dolne warstwy, jako lżejsze, dążą w górę, zimne zaś zabierają ich miejsce. Wskutek tego ruchu, który się przyspiesza z większem ogrzewaniem, woda niejako się przewraca. Gdy ją zaś silnie nagrzemy, wtenczas to przewracanie się wody od dna ku wierzchu naczynia staje się bardzo szybkie i mówimy wtenczas, że woda wrze. Otóż coś podobnego dzieje się i na kuli ziemskiej. Słońce ogrzewające ziemię ogrzewa też i wody, wskutek tego w oceanach i morzach wielkich powstają różne prądy wody. Lecz o tych prądach pomówimy innym razem. Tu tylko zaznaczymy, że dzięki właśnie tym prądom w morzach otwartych nigdy nie może sól zgęstnieć do tego stopnia, aby życie zwierzęce w nich wymarło. Przez połączenia bowiem, jakie istnieją między morzem a oceanami, następuje zawsze wyrównanie strat, jakie ponoszą morza, położone w krajach gorących, przez dopływ wody z krajów zimniejszych, a stąd równowaga jest zawsze utrzymana. Powiedzcież młodzi czytelnicy, czy to nie jest mądrzem urządzeniem Stwórcy? Któż z ludzi tak mógłby przewidzieć wszystko i tak doskonale wszystkiemu zaradzić?

Człowiek, gdy uczyni jaką rzecz, ileż później znajduje w niej niedokładności. Pan Bóg naprzód wszystko przewidział, naprzód ustanowił reguły prawa, które są niezmiennie i na których cały porządek we wszechświecie się opiera i opierać będzie do dnia ostatecznego. Tylko ludzie niedouczeni, tacy którzy nigdy nie zastanawiali się i nie zastanawiają nad tem, co ich otacza, którzy nigdy nie zdawali sobie sprawy z tych cudów i tego porządku w naturze, tacy tylko mogą twierdzić, że wszystko to stało się i stje ślepym trafem. Każdy inny, gdy tylko głębiej zastanowi się nad tem porządkiem w naturze, musi uznać wielkość i mądrość Boga i z serca zawołać: "Jakżeż wielkim i mądrym jest Bóg w działach rąk swoich!..."



**MACIERZ POLSKA**TYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY  
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyi: **MACIERZ POLSKA,****31 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS**Prenumerata roczna w nosi \$1.00. — Po edyncyi numer 3centy  
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyi: **MACIERZ POLSKA,****141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.****MACIERZ POLSKA**

AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE

issued at Chicago every Thursday.

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,****31 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS**

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month Single copy 3 cents

Address of Business Office:

**THE POLISH PUBLISHING CO.**

Publishers of

**MACIERZ POLSKA****141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS****Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI.****W obronie sztandaru.**

Było to pod Ostrołęką.

Wódz polski Skrzynecki osłabił siły nasze, wysyłając część wojska do Łomży, a co gorsza Moskale zajęli wyborną pozycję

Wmiejsu gdzie Omulew wpada do Narwi, był wysoki nasyp, wzniesiony dla powstrzymania wody w czasie wiosennych wylewów. Na lewo zaś od miasta Ostrołęki, gdzie Narew zatacza półkole są bagna i tak zwane ługi. Nieprzyjaciel zajął nasyp i obstawił wzgórze ciężkimi działami. Polskie wojsko stanęło w dole, a lewe jego skrzydło zajęło owe mokre ługi.

W tem to, nad wszelki wyraz niekorzystnem dla naszych wojsk położeniu, rozpoczął się straszny bój pod Ostrołęką.

W przeddzień bitwy wojska polskie przechodziły Narew przez całą prawie noc i stawały nad Omulewem.

Zaraz z rana usłyszano strzały karabinowe i huk dział. Nieprzyjaciel w wielkiej sile i z wielką natarczywością uderzył na miasto i zdobył je. Polacy, naciskani przez Moskale, ustępowali z wolna z miasta na mosty powstrzymując nieprzyjaciela bagnietami. Wśród tej walki jeden most się załamał, a nurty Narwi pochłonęły walczących na nim Polaków i Moskale. Drugi most, mimo rozpaczliwej obrony, zdobyli nieprzyjacieli, ale wojska nasze broniły przejścia na drugą stronę z nadzwyczajnem mężstwem.

Z góry padały strzały armatnie i karabinowe. Słońce już przeszło południe, a bój wrzał ciągle.

Wtedy to polegli generałowie Kicki i Kamiński; padł też koń pod majorem Żółkiewiczem, którego wydobyto z pod konia zaledwie żywego i wyniesiono z placu bitwy. Co chwila nowa strata. Narew oddzielała wojska polskie, które wskutek tego nie mogły się połączyć, a kule raz w raz kaleczą i zabijają mężnych obrońców Ojczyzny.

Mimo rozpaczliwej obrony nikt już nie mógł marzyć o zwycięstwie, nikt nie myślał, czy z tej krwawej walki wyjdzie z życiem. Walczącym chodziło już tylko o obronę honru wojskowego; piechota broniła przeprawy.

Nieprzyjaciel wprowadzał w bój coraz to świeższe pułki, a nasi stali ciągle niewzruszeni; pot, zmieszany z sadzą od ciągłych strzałów, spływał czarnym strumieniem po zmęczonych twarzach.

Wśród tej rozpaczliwej walki spełniło się mnóstwo czynów bohaterskich, z których każdy wart czci i pamięci potomnych.

Wśród piechoty broniącej przeprawy przez rzekę stał twardo oddział kosynierów. Chorąży tego pułku dźwiżył mocno i wysoko sztandar. Ręce mu mdlały, nogi drżały, ale on stał niewzruszenie.

Wtem uczuł jakby dotknięcie rozpalonego żelaza w lewym boku. To kula go ugodziła. Krew spływała z rany, ale chorąży stał niewzruszony. Druki strzał ugodziły go w prawe biodro. "Szczęście że nie ręka", — szepnął zacisnął zęby i stał dalej prosto, jakby stężał w wysiłku. Ale krew upływała, czarne płaty zaczęły mu latać przed oczyma, uczuł, że się chwieje na nogach. Zacisnął tem silniej palce koło drzewa sztandaru, zachwiał się i runął. Widząc to przy nim stojący kosynier, Józef Grubiński, poskoczył ku niemu, a chcąc nie dopuścić upadku sztandaru, porwał za drzewce, aby je wydrzeć konającemu, ale nadaremnie — ginący chorąży trzymał tak silnie kostniejącą ręką drzewce sztandaru, że wyrwać mu go nie było podobieństwem. Wtedy Grubiński porwał konającego, przerzucił go przez ramię i wraz ze sztandarem podniósł w górę i uszedł tak pod gradem kul ku swoim.

Czyn ten wzbudził taki podziw wśród szeregowców nieprzyjacielskich, że patrzeli na Grubińskiego z zapartym oddechem.

Na jedną chwilę wstrzymały się wszystkie ręce, ustały wystrzały, a z ust nieprzyjacielskich wypadł głośny okrzyk uznania:

"Hurra! hurra kosynier.

\* \* \*

Zdarzenie to zapisane jest w raporcie naczelnego wodza wśród innych czynów godnych podziwu.

A. Lewicka.



RUINY





## R U I N Y.

Janek lato spędzał na wsi u swoich rodziców, bo tak to musiał siedzieć w mieście i chodzić do szkół, podobnie jak inni chłopcy. Na wsi było Janekowi gdyby w raju, mieszkał w pałacu dużym i pięknym bo ojciec jego miał wielkie dobra. Kiedy był chłopczykiem małym, chodził za nim nauczyciel domowy, nie spuszczał zeń oka, ale gdy skończył lat czternaście, pozostawiono mu swobodę, a tej zresztą nie nadużywał. Czuł tylko, że jest wolny że może wziąć fuzę i psa — i chodzić, chodzić bez końca po ojcowskich lasach. Nie tyle go przytem cieszyła napotkana zwierzyna, ile piękny krajobraz, jar dzięki lub uroczysko ukryte w borze, gdzie to gajowi raz po raz natrafiali na jakichś wilkołaków i leśnych braci. Janek w te gadki nie wierzył, ale je lubił, bo one niejako ożywiały mu puszcę.

Pewnego razu zerwał się wcześniej z łóżka, a było to tak w środku lata — i ubrawszy się śpiesznie, przywołał psa Medora, którego sobie sam ułożył, i poszedł w las.

Słońce ledwie się ukazało z poza czerniejącej na dalach gęstwiny leśnej; musnęło drzew wierzchołki i przedcedzało się przez opary unoszące się nad łąkami.

Janek jednym spojrzeniem pochwycił ten czar poranka — i upojony świeżem powietrzem, pogwiżdżąc sobie, szedł drogą. Na skraju nieboskłonu widać było dość wyniosłe wzgórze, na którym malowniczo spoczywały ruiny starego zamczyska. Janek był tam już kilka razy, ale zawsze w towarzystwie, dziś pragnął przyjrzeć się ruinom sam i w dodatku o wschodzie słońca. I szedł żwawo, przedzierając się przez haszcze ustronne, zboczywszy z gościńca, przecinającego bór. Wydawało mu się, że stanie prędzej u celu. Tymczasem omylił się: zamczysko gdzie przepadło, znikło. Janek począł się niepokoić, rozglądać, nie dla tego, żeby się obawiał zwierz dzikiego, przecie miał na plecach strzelbę, ale że go gniewało, iż mógł zabłądzić. Koło południa odpoczął trochę, a potem szedł dalej, ale już wolniej, smutny i głodny. Postanowił wrócić, ale w którą się udać stronę, żeby trafić do domu? Zamyślił się, strzelbę zdjął z pleców, huknął w powietrze parę razy, a odpowiedziało mu tylko zerwane echo.

— Co ja pocznę? — rzekł do siebie półgłosem.

Wtem wydało mu się, że słyszy śpiew jakiś. Głos już to rósł, już znowu mdlał, rozpylając się w cechach przytłumionych. Janek zadrżał z radości jest ktoś, może leśnik — pomyślał. Ale to nie był leśnik, tylko jakiś mężczyzna słusznego wzrostu, z dziwnie miłym uśmiechem na twarzy. W rękę trzymał tekę i maleńki koszyczek.

Zbliżywszy się do Janka, zapytał:

— Czy ty, chłopcze, strzelałeś?

— Ja — odrzekł chłopak — zbłądziłem. Wybrałem się do ruin i trafić nie mogę. A przecież je znam...

Nieznajomy uśmiechnął się dobrotliwie.

— To chodźmy razem, ja także chciałbym dziś jeszcze odrysować zachodnią basztę zamczyska. Jestem badaczem takich starych rzeczy, jak np. te ruiny — inaczej mówiąc: jestem archeologiem. Mieszkam tu nieopodal u leśniczego.

— A gdzie zamek? Z domu go widzę codzień, a stąd nic a nic.

— Chodź ze mną, zaprowadzę cię do ruin — odrzekł nieznajomy.

I poszli. W półgodziny już stali wśród rumowisk zamczyska, koło którego pierścieniem biegła wstęga mroczna gęstego boru.

— A możeś ty głodny, chłopcze? — zapytał nieznajomy. — To proszę, podzielimy się tem, co mi żona leśniczego włożyła do tego koszyczka.

Janek pożądlivie spojrział na jedzenie, bo naprawdę był okrutnie głodny i podziękowawszy, zabrał się do spożywania chleba, wędliny i sera.

Kiedy się już nasycił, nieznajomy pan rozłożył swoją tekę na kolanie i na grubym papierze ją odrysować kontur baszty, której wieki pokruszyć i w pył zamienić jeszcze nie zdołały. Janek przyglądał się z ciekawością robocie badacza, który nie podnosząc nań oczu, jął mówić:

— Był niegdyś na tem miejscu ogromny zamek; mieszkał w nim rycerz potężny, wielki pan, którego bogactwa budziły podziw ogólny. Teraz niema ani rycerza, ani potęgi jego; popioły jego pewnie rozwiął wiatr po świecie, a widomym śladem potęgi jego zostały te ruiny.

Tu nieznajomy spojrział poważnie na Janka i ręką wskazał na gruzy.

— I tak oto wszystko zamienia się z biegiem czasu w rumowisko, w gruzy. Człowiek również jest młodym, a po upływie długiego lat szeregu staje się ruiną — bo zgrzybiałość to ruina. W tem jednak rzecz cała, żeby zostało coś więcej nad gruzy i podanie o potędze przebrzmiałej, która jest tylko przedmiotem rozmyślań dla badacza. Nie śmierć, a życie trzeba mieć na uwadze. Rycerz umarł, nie wiadomo nawet dobrze, jak się nazywał, choć taki był potężny, i zostawił tylko gruz: albowiem miał na uwadze wyłącznie siebie samego. Ruiny też te są wskazówką dla nas, żebyśmy o innych, o tych, co mają nadzieję, myśleli: gdyż w pamięci ludzkiej pozostaje jeno czyn dobry, piękny i pożyteczny. Z takich to właśnie czynów powstaje życie, które zagładzie czasu wcale nie ulega.



Jankowi głęboko do duszy zapadły słowa uczynnego człowieka. Kiedy się też rozstawali, powiedział mu:

— Ja, panie, będę się zawsze starał o to, żeby żyć z pożytkiem dla ludzi i pozostawić posobie coś więcej, aniżeli ruiny zamieniające się powoli w nicłość..

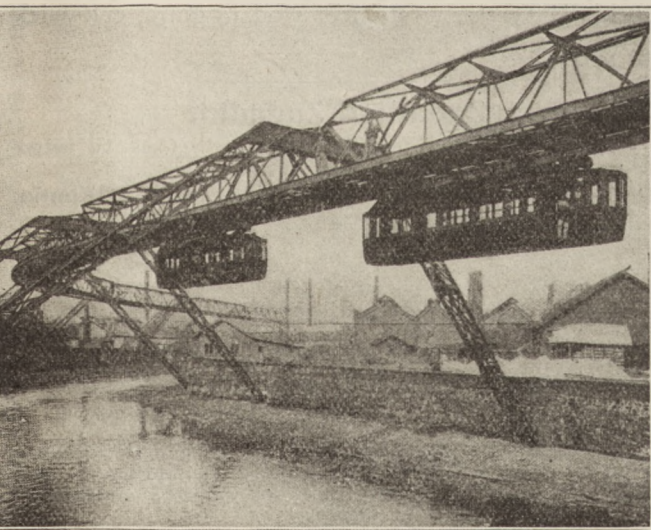
Kto jedno o swej własnej rozmyśla potędze: Ten nicość zapisuje w losów swoich księdze.

A. Miecznik.

### ZE ŚWIATA.

Kolej nadpowietrzna.

W wielkich miastach, gdzie ruch jest bardzo ożywiony, i życie kipi, pomysłowi inżynierzy i mechanicy starają się wymyśleć jak najdogodniejsze sposoby komunikacji, któreby, nie tamując zwykłego ruchu na ulicach, dawały możliwość ludziom łatwego i przyjemnego przenoszenia się z jednego miejsca na drugie. Do takich środków komunikacji należy kolej jednokołowa wisząca. Kilka lat temu nad rzeką w miastach Barmen i Elberfeldzie zbudowano pierwszą taką kolej, która dotąd bardzo dobrze służy. Wozy tej kolei wiszą na jednej tylko szynie i mają tę wielką ekonomiczną



zaletę, że najprzód waga ich jest cztery razy mniejszą od zwykłych wozów elektrycznych jeżdżących po ziemi; ostatnie ważą 100 ton, a pierwsze zaledwie 29 ton; następnie dla wprowadzenia wiszących wozów w ruch wystarcza motor elektryczny o sile 450 koni, kiedy dla poruszania elektrycznych tramwaj na powierzchni ziemi potrzeba motorów o sile od 1000 do 3000 koni. Szybkość wiszących wozów jest większą, niż zwykłych, i motorowy nie potrzebuje zmniejszać jej nawet na najostrzejszych skrętach. Ważną dogodnością dla jeżdżących jest to, że nie ma kurzu i pyłu, jakto się często zdarza przy zwykłej kolei, zwłaszcza jeżeli ulice nie są

brukowane dobrze i nie zamiatane. Znaczący twierdzą, że wisząca kolej, jaką tu czytelnicy widzą na obrazku, jest daleko bezpieczniejsza od zwykłych tramwaj. W czasie ruchu wagony nie trzęsą, nie klekocą i nie robią chałasu, co też jest bardzo wielką i ważną tej kolei zaletą.

## DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECYANA.  
Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

„Nieprzyjacieli, nieprzyjacieli!”

I ujrzełszy niebawem tłum ludu wiejskiego, dążącego w stronę naszej chaty z ramionami wyciągniętymi, z oczyma pełnymi przeżalenia.

„Do broni!” — krzyknął ojciec.

Młodzież skupiła się koło niego, ten nóż, tamten za kij chwycił.

Ojciec obiegnął wszystkich spojrzaniem badawczym i zatrzymał wzrok na najdzielniejszym, poczem wyciągnął z za pasa krótki mieczyk i podał mu.

„Bądź naszym wojewodą!” — rzekł.

Wszyscy mężczyźni już byli zbrani, ojcowie rodów skupili się pod dębem i bogów pomocy wzywali. Silni i zdrowi, w pełni lat, wraz z młodzieńcami czekali na nieprzyjaciela.

Od pół leciał hałas straszliwy: tętent kopyt, rżenie rumaków, jakieś głosy i okrzyki.

Hałas ten zdawał się wydobywać z obłoków kurzawy, zasłaniającej drogę. Po chwili jednakże z owych obłoków wyłoniły się całe szeregi zbrojnych rycerzy, które rzuciły się ku rozwartym wrotom i walka straszliwa zawrzała.

Nie trwała wszakże długo, bo siły nieprzyjaciela były wielkie. Zginęli wszyscy nasi, starcy i młodzieńcy, ojciec mój i bracia moi.

Zwycięzcy wnet wpadli do chaty, krzyk niebiaś wzmógł się. Jam obiegnął wzrokiem świetlicę i łuk na ścianie dostrzegłem. Chwyciłem go, naciągnąłem cięciwę, a gdy jeden z napastników ramię po mnie wyciągnął, puściłem strzałę, ta w pierś wroga trafiła. Powalił się na ziemię. Myślałem, że jestem ocalony. Wtem inni z napastników przybiegli z tyłu, pochwycili mnie i związali, a jeden na swego konia wsadził.

Kąsałem go z rozpacz, on się śmiał: odziany w zbroję, nie czuł moich zębów. Spostrzegłszy pomyłkę, przestałem kąsać i postanowiłem przy pierwszej lepszej sposobności uciec.

Tymczasem zwycięzcy pędzili bez odpoczynku i zatrzymali się dopiero na noc w jakimś ogrodzie. Tam swoich spotkali, których wodzem był twój ojciec. Szlachetny Virinus natychmiast spostrzegł



mnie, zmarszczył czoło, przystąpił do tego, który mnie trzymał i rzekł:

— „Uwolnić z pęt natychmiast to dziecko!“

Oswobodzony z powrozów, stanąłem przed nim, położył dłoń na mojem ramieniu i rzekł łagodnie:

— „To chłopię biorę dla siebie; innymi jeńcami dzielcie się.“

W ten sposób dostałem się tutaj, potem tyś mi serce okazał. Gdy służy ze mnie szydzili, skarcieś ich surowo. Powiedziałem sobie wówczas:

„Nie niewolnikiem, lecz przyjacielem Marcelina będę!“

I służyłem ci zawsze nie jak niewolnik, jeno jak przyjaciel. Rośliśmy razem, a każdy dzień łączył mnie ściślejszym węzłem z tobą i ojcem twoim; dziś ja was kocham na równi z tymi, których w latach pacholęcych straciłem.

Marcelin dłoń mu uściskał.

— Rzadko mi to mówisz — rzekł — częściej łąjesz.

Stabor chciał coś odpowiedzieć, gdy nagle do pokoju wbiegł zdyszany Alcybiades.

— Wielki Virinus powraca z krainy Partów! — zawołał.

Marcelin porwał się z krzesła.

— Skąd wiesz? — zapytał.

— Straże widziały przednie oddziały. Jeśli chcesz, dosiędę konia i wkrótce przekonam się, czy prawdę mówiono.

— Ty czytasz w mej duszy, jakże przyjacielem cię nie nazywać? — rzekł Marcelin.

— Pędzę! — zawołał Alcybiades.

I pospieszył do stajni, dosiadł rumaka i popędził z szybkością strzały.

— Cóż tak zmarszczył czoło? — zwrócił się Marcelin z tem pytaniem do Stabora po odejściu Alcybiadesa. — Czy wiesz, że posądzam cię w tej chwili o zazdrość?

Błądą twarz wyzwolenca zabarwił rumieniec, oczy jego pociemniały.

— Znieważasz mnie, a ja odeprzeć zniewagi nie mogę, gdyż musiałbym potępić nieobecnego — odparł wyniośle.

— Gdy Alcybiades powróci, rzuć mi to samo pytanie, a odpowiem ci.

Marcelin spostrzegł, że zrobił przykrość temu, którego może mniej lubił, niż Alcybiadesa, ale więcej cenił, więc oparł dłoń na ramieniu młodzieńca i rzekł:

— Chodźmy na wały! Ujrzymy powracające wojsko!

Stabor nie odmówił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## KANAREK.

### Bajka.

Żółciuteńki kanareczek  
W swej klateczce wciąż świergocze,  
Jak dzień długi wyśpiewuje  
Piosnki wdzięczne a ochocze.

Skoro tylko błysnie zrana  
Pierwszy złoty blask słońeczka,  
Wnet radośnie na dzień dobry  
Brzmi śpiew śliczny kanareczka.

Tak i ty dziecino miła  
Rzuć grymaski, łezki, smutki,  
Bądź wciąż grzeczną, wesolutką,  
Jak kanarek twój żółciutki.

K. H. Wachtel.

— o —  
Człowiek sam tylko może sobie albo poprawić,  
albo zepsuć swój charakter.

\* \* \*

Uznanie i pochwała innych ma cię zachęcić do  
wytrwałości w dobrem, a nie do opuszczenia się w  
niem.

niem. Wszystko w stojącej wodzie gnije, człowiek  
— w lenistwie.

— o —

### Zadania i Zagadki.

**Pytanie:** Co wiesz o mogile Wandy?... (Czas na odpowiedzi do 4 lutego).

**Zagadka kryształowa, nadesłana przez W. Okonia.**

\*  
. \* .  
. \* .  
\* \* \* \* \*  
. \* .  
. \* .  
\*

Wyrazów 7. Rzędy oznaczone gwiazdkami dają nazwę drogiego kruszcu. Znaczenie wyrazów: 1. spółgłoska; 2. głos płazu; kolor; 4. drogi kruszec; 5. wyspa należąca do Grecyi; 6. zaimek wskazujący; 7. spółgłoska.

Rozw. zagad. arytmetycznej z Nr. 3. Ojciec ma trzech synów i dwie córki.

### ODPOWIEDZI REDAKCYI:

Zof. Świech, Władysława Ugorek, A. Bieszka, Pel, Mrozińska, Cec. Piasecka, Roz. Bieszka, ze szk. św. Stan. B. i M. w Cragin. Wł. Okoń, Kaz. Milczewski, Al. Piech, Fr. Polewski ze szk. św. St. K. w Chicago, odpowiedzi na pytanie z Nr. 2 dobrze napisane, lecz spóźnione. Odpowiedzi uczennic ze szkoły św. Stan. B. i M. odznaczają się starannem piśmem.

Żeby czytelnikom naszym dać więcej czasu do opracowania odpowiedzi na zadawane pytania, redakcyja oznajmia, że odpowiedzi drukować będzie co drugi numer; dlatego w obecnym numerze nie podajemy odpowiedzi na pytanie z Nr. 3 M. P. Odpowiedź ta będzie w następnym numerze.

**P. J. Aksamit.** Za życzenia dziękujemy. Podolaków trzeba rozruszać.

**Macierzysta z Oddziału 22.** Wiersz dobry, ale dla naszego pisma za trudny. Wolimy powiastkę na tle życia dzieci.